

21 stycznia 2015

/ Czytelnia / Teatr /

[Katarzyna Joanna Maćkała](#)

Współczesne ballady i romanse

***Balladyna* w reżyserii Radosława Rychcika to z pozoru szkaradna farsa, z której widz niczym uczestnik jasełek sam musi wyłowić ukryte święte słowa.**

„Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgowica urodziła, ta tragedia jest najlepszą (...) Cała podobna do starej ballady, ułożona tak, jakby ją gmin układał, przeciwna zupełnie prawdzie historycznej, czasem przeciwna podobieństwu do prawdy. Ludzie jednak, starałem się, aby byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca”. Tymi słowami Juliusz Słowacki wyrażał się o swoim nowym dramacie, pisząc list do matki w roku 1834. I rzeczywiście, poecie udało się stworzyć arcydzieło, powszechnie znane i podziwiane. Do tego stopnia powszechnie, że głośno domaga się odkrywania go na nowo. *Balladyna* to tragedia przywodząca na myśl *Sen nocy letniej*, *Króla Leara* (samemu autorowi cisnęło się na usta to porównanie) czy *Makbeta*. Z jednej strony przepelniona jest literackimi aluzjami i odniesieniami, z drugiej – błyszczy absolutnym nowatorstwem, zarówno w warstwie literackiej, jak i teatralnej. Tytułowa heroina Słowackiego to osobowość powiedziona przez autora znacznie dalej niż Lady Makbet czy nawet sam Makbet. Chłopka wstępująca na tron, morderczyni w jakimś sensie okrutniejsza i bardziej wyrafinowana niż którakolwiek z bohaterek Shakespeare’a, winowajczyni, która wydaje na siebie wyrok, zakładniczka zmysłów i niewolnica namiętności. Odtworzenie roli głównej w dramacie wieszca stanowi nie bez powodu arcytrudne wyzwanie aktorskie nawet dla największych gwiazd sceny.

Balladyna Słowackiego jest mroczniejsza od dramatów Stratfordczyka, niepokojąco groteskowa i o wiele mniej „przyjemna” dla widza, ale to czyni ją sztuką bardziej otwartą na intertekstualną grę z dwudziestowiecznymi przekleństwami i zmorami. Poeta stworzył uniwersalną treść, ujętą w doskonałej lirycznej formie, ukutą z baśni, komedii i tragedii, wywiedzioną z tradycji ludowych, spajającą wątki historii i filozofii. Słowacki kochał Polskę miłością wymagającą. Nie szczędził słów krytyki narodowi, według niego sprzeniewierzającemu się prawdzie własnej tkanki. Po klęsce powstania, przebywając przez dłuższy czas w Paryżu, miał Słowacki okazję obserwować pełne niuansów i brutalności konflikty między Polakami, czuł otaczający go rozkład moralny. Czarę goryczy przelało wydanie III części *Dziadów* Adama Mickiewicza, odebrane przez Słowackiego jako paszkwil na ojczyzna i tym samym obrazę honoru ukochanej matki. W takiej, zgoła niebudującej i nienastrajającej optymistycznie, atmosferze powstała historia mordu za dzbanek malin.

Dziewiętnastowieczne konflikty i wojny przez nie wywołane towarzyszyły nieustannie refleksji dziejowej Słowackiego. Wojny toczyły się jeszcze długo po wydaniu *Balladyny*, a tym bardziej po śmierci autora w roku 1849. Słowacki przeczuł i oddał w *Balladynie* ducha

zagnatwanej przyszłości starego kontynentu. Dlatego jego dzieło, choć powstało wiele lat przed nowym wiekiem, ilustruje atmosferę Europy pogrążonej w pierwszej wojnie totalnej. Kulminację trudnej europejskiej historii stanowił pomilenijny konflikt światowy, który stał się symbolem katastrofy cywilizacyjnej, tak przytłaczającej, że odwołujemy się do niej nawet po upływie stu lat. Pierwsza wojna światowa, bo o niej rzecz jasna mowa, stanowiła nie tylko konflikt zbrojny o niespotykanym zasięgu. Była też zaraniem dziejów międzynarodowego wyścigu zbrojeń, zapoczątkowanego wprowadzeniem nowych metod bojowych. Spowodowała również rewolucyjne zmiany w społeczeństwie, zrywając z prymatem mężczyzn w życiu społecznym i ekonomicznym wielu krajów. Nic więc dziwnego, że *Balladyna*, historia toczącej wojny kobiety-króla, skojarzyła się Radosławowi Rychcikowi właśnie z pierwszą wojną światową. Ba, to skojarzenie niezwykle celne, nie tylko ze względu na tegoroczny jubileusz, który zbiegł się z premierą *Balladyny* w reżyserii Rychcika, zrealizowaną na deskach Teatru imienia W. Siemaszkowej w Rzeszowie.

„Nasza *Balladyna* to opowieść o praźródłach XX wieku jako epoce wojen i rodzącego się ruchu emancypacji kobiet” – pisze w programie do rzeszowskiego spektaklu reżyser. Zarówno Kirkor (Tomasz Kowalski), jak i Fon Kostryn (Paweł Dobek) są tutaj żołnierzami z okopów Wielkiej Wojny. Nie ma to jak mężczyźni w kamaszach! Co jednak, jeśli z kamasza wystaje tylko kikut? W „mięso armatnie” wcielają się tu także niepełnosprawni statyści, których reżyser, wykazując się niebywałą odwagą, zaprosił do realizacji projektu. Najniższe ukłony należą mu się za pracę z tak niekonwencjonalnymi, trudnymi aktorami, amatorami o różnym stopniu niepełnosprawności, fizycznej lub intelektualnej. Niejednokrotnie wygłaszają oni długie i ważne kwestie, nie wspominając o trudach poruszania się po scenie podług praw sztuki. Niebywały wysiłek, włożony w przygotowanie tego zabiegu, daje też intrygujący efekt artystyczny, nie da się bowiem ukryć, że wpisanie niepełnosprawnych w kontekst gry zawodowych aktorów jest zastosowanym wobec widza (zamierzonym lub osiągniętym zgoła spontanicznie) efektem tyleż oszałamiającym, co dyskusyjnym – swoistym szantażem emocjonalnym. Uczucie, jakie wywołuje ów szantaż, przypomina atmosferę międzywojennej matni czy apatii społecznej, w której pogrążeni byli weterani pierwszej wojny. Okaleczeni psychicznie i fizycznie, stanowiący brzydkie tło dla nazwijmy to kabaretowej aury wolności lub idei wielkopaństwa, nie mogli znaleźć innego miejsca w społeczeństwie niż w rekwizowanych przez nazistów obrazach Otto Dix’a. Rychcik stawia więc publiczność w dziwnej sytuacji, zapożyczony jakby z *Powrotu żołnierza* Hemingway’a, kiedy to nie wiadomo do końca, jak się zachować.



„Balladyna”, reż. R. Rychcik, fot. M. Mikulski

Podjęty wątek wojny lat 1914–1918 zostaje spleciony z tematem emancypacji kobiet pojętej jako walka o władzę. Ta droga nie wydaje się do końca słuszna. Dla Rychcika *Balladyna* jest przede wszystkim „historią kobiety, która zabija swoją siostrę”. Czyn ten twórca porównał do sytuacji specyficznego konkursu, jakim jest casting. Taka właśnie perspektywa

odczuwalna jest na scenie. Balladyna (bardzo dobra rola debutantki – Julii Trembeckiej) z postaci tragicznej przemienia się tu niemal w kobietę lekkich obyczajów, bez zastanowienia kupującą wszystkim, co ma do zaoferowania. Ustawienie obu aktorek grających siostry od początku spektaklu w pozycji przedmiotów, cielesnych obiektów obserwacji chorych na wojnę żołnierzy i jednocześnie nadanie postaci głównej bohaterki rysu niemądrej dziewczyny, marzącej o karierze filmowej, trywializuje bunt i emancypację Balladyny. Co ciekawe, Alina Izabeli Gwizdak nie budzi sympatii, a reżyser każe jej wygłaszać także kwestie złej siostry. Tytułowa zbrodniarka nie jest tu więc przeciwstawiona Alinie, ale matce. Wdowa, w błyskotliwym wykonaniu Anny Demczuk, to jedyna niekrzykliwa, a jednocześnie krzycząca postać spektaklu. Ona właśnie stanowi przeciwwagę dla wyborów Balladyny i dla wniosku, jaki się nasuwa w kwestii kobiecej: emancypacja doprowadza do zezwierżenia, które wcześniej było głównie udziałem mężczyzn. Głos Wdowy jest tu niczym słynne pytanie: a co, gdyby to kobiety rządziły światem? Jest to smutny głos kogoś świadomego ciężaru zniewolenia i ciężaru wolności.

Reżyser nieustannie nawiązuje do *Dziadów* (Rychcika oczywiście, nie Mickiewicza). Czy to spożyciem coca-coli, czy to opowiadaniem o tragedii Titanica, powraca do obrazów ze swojej poprzedniej realizacji; umieszczając na scenie odkurzacz, dosłownie odkurza stare pomysły. Wydaje się, że w *Balladynie* popkulturowa estetyka nabiera jednak innego niż w *Dziadach* wymiaru. Jeśli patrzeć na przedstawienie rzeszowskie jak na interpretację pożogi pierwszej wojny światowej, należy uznać je za nieudany narodowy *decoupage*. Tak samo nie do końca przekonuje wypływający z interpretacji emancypacyjnej wniosek w stylu „kochaj i rób, co chcesz”, albo „twórz, skoro sprawia ci to przyjemność”. Jednak z estetycznego punktu widzenia wszystkie te i inne elementy oraz ekspozyty, każdy z odrębnego muzeum, łącznie niosą głęboką refleksję nad współczesnym postrzeganiem świata. Rychcikowi udało się ukazanie nowego świata nadprzyrodzonego i rewolucyjnej zmiany w jego percepcji wśród odbiorców kultury.



„Balladyna”, reż. R. Rychcik, fot. M. Mikulski

Już profesor Raszewski zauważył w *Balladynie* zmienność charakterystyczną dla obrazu filmowego, który zawładnął wyobraźnią człowieka XXI wieku. Umiejętnie wykorzystał to Rychcik, pokazując, czym dzisiaj jest dla nas świat nadprzyrodzony: filmowym miszmaszem, multimedialną przeróbką rzeczywistości, technologicznym przemiałem niegdysiejszego marzenia o życiu pozagrobowym. Eposy przekazywane z pokolenia na pokolenie zostały zastąpione przez jednodniowe newsy. To, co piękne w tekście Słowackiego, jest u Rychcika szkaradne. Stojąca najwyżej w baśniowej hierarchii Goplana (Dagny Cipora) to skrzecząca infantylnością, paradoksalnie nieprzypominająca Shirley Temple, którą zapowiada obsada, przerysowana lalka ze szklanego pudła. Grabiec (Waldemar Czyszak) – jedna z najciekawszych postaci dramatu, jest tu odpychającym Frankensteinem,

nowoczesnym, dosztukowanym scenicznie epilogiem do powieści Mary Shelley, wytworem hollywoodzkiej kinematografii, która zajęła miejsce baśni. Gralon (Joanna Baran) w Rychcikowej interpretacji przepelnia chyba największym żalem jako fotografujący wszystko newsboy. W pysznej, oszalamiającej scenografii Anna Maria Kaczmarek umieściła na scenie maszynę sztucznie wytwarzającą wiatr, która w niewytłumaczalny sposób potęguje dojmujące poczucie nieokreślonego niepokoju, wyraźnie odczuwane przez widzów. Upadek *Balladyny* – pięknej tylko z zewnątrz – niespecjalnie wyróżnia się w „szarańczy spichlerzu”. Być może dlatego *Balladyna* wraca, by w zakończeniu spektaklu, niewątpliwie z ironią, odśpiewać dość błahy hymn ponowoczesności, w której każdy ma takie zdanie, że ma prawo do własnego zdania. Ta przejmująca końcówka o gorzkim smaku przywodzi na myśl wersy tragedii opowiadającej o innym upadłym mordercy: „Życie jest jedynie przelotnym cieniem, żalonym aktorem, co przez godzinę puszy się i miota po scenie, po czym znika. Opowieścią idioty pełną wrzasku i wściekłości, a nie znaczącą nic”. Aż strach pomyśleć, jakim gromem porazi nas dopełniająca klasycznej trylogii *Grażyna*, której premiera w Teatrze imienia. L. Solskiego w Tarnowie planowana jest na wiosnę.



„Balladyna”, reż. R. Rychcik, fot. M. Mikulski

[Katarzyna Joanna Maćkała](#) - autorka jest doktorantką w Zakładzie Historii i Teorii Teatru Instytutu Sztuki PAN w Warszawie. Zajmuje się głównie obecnością dramatu skandynawskiego i anglosaskiego w Polsce oraz rolą przekładu w teatrze.